



### ■ Kontra „brain-dead”, czyli szczyt NATO w Londynie

Jadwiga Kiwerska

Szczyt przywódców 29 państw członkowskich NATO w Londynie 3-4 grudnia 2019 r. powinien być okazją do dumnego świętowania 70. rocznicy utworzenia tego bezprecedensowego w historii sojuszu polityczno-wojskowego. W innych okolicznościach zapewne tak by było. Tymczasem obecna kondycja NATO napawa troską zarówno polityków, jak i ekspertów. Ich opinie o kryzysie Paktu Północnoatlantyckiego, wyrażane bardziej lub mniej dosadnie, wydają się w części przynajmniej uzasadnione, a na pewno powinny zmusić do działania na rzecz wzmocnienia siły i skuteczności NATO, przede wszystkim zaś przywrócenia jego rangi. Tym bardziej że właściwie żadne państwo członkowskie, pomijając pojedyncze wypowiedzi różnych polityków pobocznego nurtu partyjnego w Europie, nie kwestionuje znaczenia i roli zawiązanego 70 lat temu Sojuszu Północnoatlantyckiego. Nikt nie podważa opinii, że Europa pozbawiona „opieki” NATO byłaby niezdolna do skutecznej obrony.

Nie dziwi zatem tak ostra reakcja wspólnoty transatlantycznej na słowa Emmanuela Macrona, że NATO znalazło się w stanie „śmierci mózgowej”, które padły w jego wywiadzie dla „The Economist” 7 listopada 2019 r. Kontynuując swą myśl o kryzysie NATO, francuski prezydent przekonywał, że przyszedł czas, aby budować europejską autonomiczną odpowiedzialność za swą obronę. W pierwszej kolejności zareagowały na taką diagnozę Niemcy. Stawką jest bowiem ich bezpieczeństwo, w tak dużym stopniu uzależnione od wspólnej obrony w ramach Sojuszu.

„Ten punkt widzenia nie odpowiada mojemu” - zapewniła niemal nazajutrz po wypowiedzi francuskiego przywódcy kanclerz Angela Merkel. „Prezydent Macron użył drastycznych słów. Takie sformułowania nie są konieczne, nawet jeśli mamy problemy i musimy się docierać. NATO pozostaje fundamentem naszego bezpieczeństwa. Partnerstwo transatlantyczne jest dla nas niezbywalne”. Następnie, występując w Bundestagu 27 listopada 2019 r.,

#### Redakcja:

Radosław Grodzki  
Jacek Kubera  
(redaktor naczelny)  
Piotr Kubiak  
Krzysztof Malinowski

#### Korekta:

Hanna Różanek

Nr 42(416)/2019  
09.12.19

ISSN 2450-5080

Biuletyny dostępne  
także dzięki:  
NEWSLETTER IZ  
FACEBOOK  
SCRIBD  
LINKEDIN  
TWITTER

kanclerz dowodziła, że „utrzymanie NATO jest dzisiaj w naszym własnym interesie jeszcze bardziej albo przynajmniej tak samo konieczne, jak w czasie zimnej wojny”. Wobec pomysłu Macrona przeniesienia punktu ciężkości w zakresie bezpieczeństwa i obrony na struktury europejskie/Unię Europejską kanclerz Niemiec była zdecydowanie sceptyczna. Jej zdaniem współpracę obronną w ramach UE nie można rozwijać „w konkurencji wobec NATO albo zamiast NATO”.

Zdawano sobie jednak sprawę z tego, że słowa Macrona, jakkolwiek ostre i w stosunku do rzeczywistej sytuacji wspólnoty transatlantyckiej nieco przerysowane, odpowiadające bardziej konwencji publicystycznej niż formułom przyjętym w dyplomacji czy polityce, to jednak dotyczyły istoty problemu, czyli osłabionej kondycji NATO. Dlatego Niemcy natychmiast przystąpiły do ofensywy – czołowi politycy niemieccy zaangażowali się w jego „ratowanie”. „Jesteśmy zdani na sojusz transatlantycki, dlatego powinniśmy dla niego pracować i przejąć większą odpowiedzialność” – dowodziła Merkel w tym samym wystąpieniu na forum Bundestagu. W przypadku Niemiec ma to oznaczać m.in. utrzymanie wzrastającego trendu w wydatkach na obronę. Przypomnijmy, że nakłady na obronność wzrosły w niemieckim budżecie z poziomu 1,18% PKB w 2014 r. do 1,42% PKB obecnie. Wprowadzie dopiero w 2031 r. osiągną one zadeklarowany podczas pamiętnego szczytu NATO w Newport w 2014 r. poziom 2% PKB, ale już w 2020 r. będzie to ponad 50 mld euro przeznaczonych na obronność – co zapowiedziała szefowa niemieckiego resortu obrony Annegret Kramp-Karrenbauer, występując 7 listopada 2019 r. na Uniwersytecie Bundeswehry w Monachium.

W tym samym wystąpieniu, traktowanym przez komentatorów jako programowe, bo wytyczające cele strategiczne niemieckiej polityki bezpieczeństwa, znalazły się zapewnienia o większej odpowiedzialności Niemiec za międzynarodowy ład, w tym o wzroście ich aktywności militarnej; dowodzone znaczenia NATO i relacji transatlantyckich w systemie bezpieczeństwa europejskiego. Od wystąpienia Macrona zdystansował się także szef niemieckiej dyplomacji Heiko Maas, pisząc na portalu „Spiegel Online”: „Przez wiele lat będziemy potrzebować NATO, które oznacza podział obciążeń, międzynarodową współpracę i multilateralizm. (...) Nawet jeśli któregoś dnia Europa będzie w stanie sama bronić swego bezpieczeństwa, to nadal powinniśmy chcieć NATO. Silna i suwerenna Europa jest potrzebna jako część silnego NATO, a nie jako jego substytut”. Błędem byłoby podważanie znaczenia Sojuszu Północnoatlantyckiego – dowodził Maas – bo „bez Stanów Zjednoczonych ani Niemcy, ani Europa nie są w stanie skutecznie się bronić. (...) Polityka zagraniczna i bezpieczeństwa bez Waszyngtonu byłaby nieodpowiedzialna, a oddzielenie europejskiego i amerykańskiego bezpieczeństwa ryzykowne”.

Żarliwość obrony NATO i silnych więzi transatlantyckich ze strony wywodzącego się z SPD szefa dyplomacji Niemiec mogła zaskakiwać, biorąc pod uwagę tradycyjny, niekrywany sceptycyzm niektórych polityków niemieckiej socjaldemokracji zarówno wobec Sojuszu Północnoatlantyckiego, jak i amerykańskiego sojusznika, a także wobec tendencji wzrostu w budżecie federalnym nakładów na obronę. Tym bardziej że według sondażu instytutu badania opinii YuoGov, przeprowadzonego na zlecenie agencji DPA krótko przed szczytem NATO w Londynie, większość Niemców – 55% – opowiadała się za europejską niezależnością od USA w zakresie obronności; tylko 21% nie chciało

rezygnować ze wsparcia USA, a aż 48% badanych było za całkowitym lub częściowym wycofaniem amerykańskich żołnierzy z Niemiec.

Tymczasem minister Maas poszedł dalej, nazywając NATO „europejskim ubezpieczeniem na życie”. Przy okazji spotkania ministrów spraw zagranicznych NATO w Brukseli, 20 listopada 2019 r., szef niemieckiej dyplomacji wystąpił też z propozycjami udoskonalenia/zreformowania Sojuszu, jakby zgadzając się z opinią, że nie wystarczą zapewnienia o znaczeniu NATO, licząc się przede wszystkim czyni. W ujęciu Maasa działania te powinny mieć charakter głównie polityczny - chodzi o wzmocnienie „politycznego ramienia NATO” i „silniejszą koordynację polityczną partnerów”. „Nie wystarczy, żeby państwa członkowskie Sojuszu spotykały się co sześć miesięcy i podejmowały decyzje. Potrzebny jest stały dialog polityczny” - przekonywał minister spraw zagranicznych Niemiec. „Jesteśmy sojuszem złożonym z demokracji i nie obawiamy się debat. Merytoryczne debaty mogą uczynić nasz sojusz silniejszym”.

Domaganie się więcej politycznych dyskusji w NATO przybrało konkretny kształt, gdy Maas zaproponował powołanie specjalnej grupy ekspertów, złożonej z byłych ministrów obrony i spraw zagranicznych, a także byłych wysokich urzędników, kompetentnych merytorycznie. Ta swego rodzaju grupa refleksji, której przewodziłby sekretarz generalny NATO, pochylałaby się nad przyszłością Sojuszu. Reakcja na propozycję Maasa była wśród państw członkowskich na ogół przychylna - sam Jens Stoltenberg, sekretarz generalny NATO, nazwał ją „wartościową”. Pytaniem było, czy znajdzie ona akceptację i przyjmie formułę konkretną na szczycie londyńskim. W każdym razie delegacja niemiecka jechała do Londynu z konkretną propozycją. Dodajmy, nie jedyną.

Otóż na tydzień przed spotkaniem w Londynie państwa członkowskie zgodziły się na zmianę sposobu pokrywania kosztów w ramach NATO. W przypadku Niemiec oznaczało to, że od 2021 r. pokrywana przez nich część budżetu NATO wzrośnie z 14,8% do 16,35%, przy jednoczesnym zmniejszeniu udziału USA z 22,1% do 16,35%. Tym samym oba kraje będą w równym stopniu partycypować we wspólnym, natowskim budżecie. Nowa umowa gwarantowała więc, że roczny wkład Niemiec do budżetu NATO wzrośnie o około 33 mln euro, podczas gdy USA zaoszczędzą około 120 mln. Akceptacja przez Berlin nowych ustaleń co do budżetu NATO była gestem pod adresem Amerykanów, a może lepiej – samego prezydenta Trumpa, konsekwentnie i zdecydowanie domagającego się większego wkładu europejskich sojuszników, a zwłaszcza Niemiec, we wspólną obronność. Przecież temat *burden sharing* za jego kadencji urósł do najważniejszego, spornego problemu w relacjach Ameryki z jej europejskimi sojusznikami w ramach NATO.

A więc reagując ostro w obronie Sojuszu Północnoatlantyckiego, a także zapowiadając większe zobowiązania finansowe, strona niemiecka niewątpliwie zeszła z linii ognia, zwykle otwieranej przez Trumpa wobec Niemiec za ich niskie wydatki na obronność. Tymczasem na konferencji prasowej z kanclerz Merkel w Londynie prezydent Trump wstrzymał się od jakiegokolwiek krytyki pod adresem Niemiec, mimo że w sprawie przeznaczenia na obronę 2% PKB w budżecie Niemiec nic się nie zmieniło i zgodnie z zapowiedzią strony niemieckiej pułap ten nie będzie osiągnięty przed 2031 r. Z takiej perspektywy był to - mimo wszystko - pozytywny efekt wypowiedzi prezydenta Macrona. Niemcy nie stały się tym razem obiektem krytyki Trumpa, raczej uderzał jego pojednawczy ton wobec Berlina.

Należy też wspomnieć o jeszcze jednym paradoksie związanym z głośnym wywiadem francuskiego przywódcy. Otóż w obronie NATO wystąpił podczas szczytu w Londynie sam prezydent Trump, dotąd najostrzej i dość bezceremonialnie traktujący sam Sojusz i jego niektóre europejskie państwa członkowskie. Wprawdzie Trump przestał posługiwać się owym głośnym sformułowaniem z czasu kampanii wyborczej, że NATO jest strukturą przestarzałą („obsolete”), ale kolejne szczyty NATO obfitowały w gesty i zachowania amerykańskiego prezydenta osłabiające rangę tego wyjątkowego w historii sojuszu państw, a nawet stawiające pod znakiem zapytania zasadność jego istnienia. Traktowanie Sojuszu przez obecnego prezydenta USA w charakterystyczny dla siebie, transakcyjny sposób osłabiło to, co legło u jego podstaw: wiarygodność, wzajemne zaufanie i współodpowiedzialność. Zamiast tych zasad i wartości pojawiło się - słuszne skądinąd - oczekiwanie większej zapłaty za amerykańską pomoc i ochronę.

Utrzymaniu siły i skuteczności NATO nie służyło z pewnością ociąganie się Trumpa z potwierdzeniem, że USA honorują art. 5 traktatu waszyngtońskiego zobowiązującego państwa członkowskie do wzajemnej pomocy. Podobnie negatywny wpływ na rangę i potencjał Sojuszu miały groźby Trumpa ewentualnego wycofania się Amerykanów z NATO, jak stało się to podczas ubiegłorocznego szczytu w Brukseli, czy szantażowanie Berlina przeniesieniem amerykańskich żołnierzy z Niemiec do Polski. Bez konsultacji z sojusznikami, a nawet niekiedy wbrew ich stanowisku administracja Trumpa podejmowała działania podważające światowy ład. Ten „disrupter-in-chief on the world stage” - jak określono prezydenta Trumpa w jednym z politycznych esejów - lubił wstrząsać wspólnotą natowską, bulwersując, a nawet przerażając niektórych przywódców europejskich.

Tymczasem w Londynie prezydent Trump stał się obrońcą NATO. Odnosząc się do słów prezydenta Macrona o „śmierci mózgowej NATO”, stwierdził, że są to „bardzo brzydkie słowa” i obraźliwe dla członków Sojuszu („It’s a tough statement when you make a statement like that. It’s very, very nasty statement to essentially 28 countries”). Nie szczędził też połajanek Macronowi, wypominając mu m.in. kłopoty wewnętrzne spowodowane protestami „żółtych kamizelek” czy dużym bezrobociem. Wrażenie było jedno, rozplynęły się gdzieś bliskie relacje między Trumpem a Macronem, jakie prezydent Francji starał się budować od 2017 r., równoległe do postępującego ochłodzenia na linii Trump-Merkel.

Entuzjazm dla NATO prezydent Trump zademonstrował także w obecności sekretarza generalnego Stoltenberga, gdy stwierdził: „NATO serves a great purpose. It got to be unfair for the United States, because the United States was paying a disproportionate amount and I heard that President Macron said NATO is brain dead. I think that’s very insulting to a lot of different forces, including a man who does a very good job running NATO”. Były to miłe słowa nie tylko dla Stoltenberga, który rzeczywiście wykonał dużą pracę, aby - mimo wszystko - utrzymać siłę i koherencję NATO oraz osłabić ataki Trumpa, ale również dla całego Sojuszu.

Trudno też nie dostrzec, jaka była przyczyna tego, że Trump tak ostro zareagował na słowa Macrona o złej kondycji NATO i z krytyka Sojuszu nagle stał się jego obrońcą. Przypomnijmy więc, że prezydent Macron jasno i wyraźnie wyartykułował odpowiedzialność Ameryki za to, że NATO znalazło się w stanie „brain-dead”. Francuski prezydent w głośnym wywiadzie mówił: „USA wykazują oznaki odwracania się do nas plecami. Nie wiem, czy wierzę jeszcze w artykuł 5 traktatu [waszyngtońskiego].

To, czego teraz doświadczamy, jest śmiercią mózgową NATO. Nagłe wycofanie amerykańskich wojsk z północy Syrii to oznaka odwracania się USA od nas. Tej decyzji Donald Trump nie skonsultował z sojusznikami. Kraje członkowskie NATO powinny się przebudzić i na nowo przemyśleć rolę Sojuszu, biorąc pod uwagę politykę prowadzoną przez USA”.

Trudno nie odmówić Macronowi racji, gdy mówił o odpowiedzialności Trumpa za obecną sytuację NATO, co nie wyklucza odpowiedzialności - *toutes proportions gardées* - także sojuszników europejskich. Niewątpliwie w sensie politycznym różne wypowiedzi Trumpa nie pomagały w utrzymaniu wysokiej rangi Sojuszu, trzeba jednak pamiętać, że pomimo to strona amerykańska od 2014 r. konsekwentnie, a więc także za kadencji obecnego prezydenta, uczestniczy w zapewnieniu bezpieczeństwa Europie, a nawet jej zaangażowanie wymiennie rośnie - *vide* wschodnia flanką NATO. Ze swej strony Europa musi wziąć więcej odpowiedzialności za swoje i światowe bezpieczeństwo. W tym sensie Macron ma także rację. I taki ton pobrzmiewał również w Londynie.

Zresztą przywódcy europejskich państw członkowskich NATO, odnosząc się krytycznie do wypowiedzi Macrona, w większości jednak zgadzali się, że Europa musi czynić więcej w zakresie obronności - potrzebna jest jej własna inicjatywa i więcej niezależności. Dotychczasowa zasada, że bez względu na to, kto zasiada w Białym Domu, priorytety amerykańskie w zakresie polityki bezpieczeństwa pozostaną niewzruszone i dotyczyć to będzie także relacji transatlantyckich, przestała bowiem obowiązywać. Świadomość tego mają także Niemcy. Kanclerz Merkel, krytykując słowa francuskiego prezydenta, równocześnie przekonywała, że należy rozwijać współpracę obronną w ramach UE, tak by stała się ona „nowym, europejskim filarem NATO”.

Minister Maas z kolei powrócił do koncepcji powołania Europejskiej Rady Bezpieczeństwa, której partnerem byłaby także Wielka Brytania. „Potrzebujemy takiego gremium jako miejsca, w którym Europejczycy połączą swe wysiłki w dziedzinie dyplomacji i polityki bezpieczeństwa” - przekonywał szef niemieckiej dyplomacji.

W każdym razie, osiągnięcie przez Europę swego rodzaju „autonomii strategicznej”, czyli zdolności do militarnego działania bez USA, jednak w formule kompatybilnej z NATO, a nie wobec niej konkurencyjnej, wydaje się konieczne, a nawet jest warunkiem niezbędnym dla umocnienia sojuszu transatlantyckiego. Pozostaje pytanie, czy stanie się to faktem.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autorów.

**Jadwiga Kiwerska** – prof. dr hab., pracownik Instytutu Zachodniego i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.